



Marian Flejsierowicz

SIEDZĄC NA TACHCIE...

15.000 kilometrów po ZSRR

Mój uzbecki przewodnik po Taszkencie, sekretarz redakcji miejscowej gazety, kiedy już zakończyliśmy zwiedzanie miasta i okolic, powiedział:

— A teraz chciałbym ciebie i twojego towarzysza z Moskwy nieoficjalnie poprosić do mego brata na uzbecki czaj. Jeżeli wam to nie odpowiada — dodał szybko, widząc za skoczenie i niezdecydowanie na mej twarzy — możecie odmówić. Ale to nie potrwa długo. Zobaczycie. Chcecie, wypicie czaj i pójście. Chcecie posiedzieć dłużej.

W tym nieoficjalnym zaproszeniu było coś całkowicie prywatnego, ale przecież ceremonialnej gościnności, że wprost nie wypadało odmówić. Poza tym trafiła się nie lada dla dziennikarza okazja zobaczenia uzbeckiego domu. Nie bardzo miałem ochotę na herbatę w takiej spiekoce, jaka akurat w Taszkencie panowała, ale czego się w końcu nie robi dla zdobycia jeszcze jednej porcji profesjonalnych spostrzeżeń?

Samochód się zatrzymał z dala od śródmieścia, w dzielnicy Taszkentu zwanej *Kirowskij Rajon*, w której stoją wyłącznie niskie parterowe domki, otoczone dwumetrowym murem. Wiele z tych domków i te mury zbudowane są z gliny, wymieszanej z kawałkami słomy. Czasem mur otacza cały dom położony w głębi, częściej — dom wraz z glinianym murem tworzą wzdłuż ulicy jedną, frontową ścianę ogrodzenia.

W Taszkencie po trzęsieniu zbudowano już dwa wielkie osiedla: Cilanar, składające się z nowoczesnych dużych bloków oraz Masyw Oktabrski, gdzie stoją tylko i wyłącznie parterowe jednorodzinne domki zbudowane po staremu. Rosjanie i młodzi Uzbecy wybrali Cilanar, starsi Uzbecy — Masyw. Pierwsi opowiedzieli się za nowoczesnością, drudzy — za tradycją. Do końca maja, a więc w ciągu 3 lat wybudowano po trzęsieniu około 2000 000 m kw. powierzchni mieszkalnej. W Taszkencie ogromnie duża część ludzi mieszka tradycyjnie. W samym tylko Masywie stanęło kilka tysięcy domków otoczonych żółtym, wysuszonym w słońcu glinianym murem.

Przewodnik wysiadł z samochodu, i zniknął za furtką w murze. Po chwili razem z nim wyszedł jego brat, ubrany w spodnie i białą trykotową koszulkę gimnastyczną. Na bosych nogach miał domowe pantofle. Wyglądał jak człowiek, któremu przerwało poobiednią sjęstę. Nie zaprosił nas jednak do siebie, lecz zaprowadził kawałek dalej, do innego jeszcze domu. Wchodziło się doń przez podobną jak tamta furtkę na niewielkie podwórko, na którym rosły róże i kilka owocowych drzew. W ich cieniu stała tachta, coś w rodzaju podium otoczonego parudziesięciocentymetrowym parkanikiem.

Gospodarze zapraszają nas do środka swego domu: W korytarzu — jak każde tradycja — zdejmujemy obuwie. Muchamedżan Abdurachmanow, kierownik stołówki w *Uzbek-chłopmasz*, tj. w fabryce maszyn

bawełnianych, prowadzi nas do pokoju, w którym stoją dwa nowoczesne łóżka, szafa, jakaś toaleta i dwie cięte łóżeczko, słowem — europejska sypialnia. Ale na środku pokroju tego dywanem pokoju stoi stół, wysoki zaledwie 30—40 cm. Siadamy na podłodze w piątce wokół tego stołu. Właściwie siedzimy nie na podłodze, lecz na rozpostartych, złożonych wpół koidrach. Pod jedną z ścian stoi prawie aż do sufitu sięgający stos takich koider. Na nich się siada, na nich też się sypia. W upalne dni cała rodzina ucieka spać na tachcie grubo zaścieleną tymi koidrami, które — jak się dowiaduję — z kretonu i bawełny uszyła żona gospodarza. Trafiałem na szczęśliwe wydarzenie: niedawno, po czterech cirkach, przyszedł na świat syn. Jest nas razem z kierowcą tutejszej redakcji, Rosjaninem, sześciu mężczyzn (Żona gospodarza ani na chwilę nam się nie pokazała). Zaraz zjawia się na stole zielona herbata. Gospodarz nalewa ją każdemu z porcelanowego czajniczka do filiżanek-miseczek bez uchwyty. Zaw sze zaczyna ode mnie i za każdym razem, podając mi napełnioną filiżankę jedną ręką trzyma na pierś, składając przy tym ukłon. Na stole są 2 butelki bułgarskiego winiaku i jedna rosyjskiej wódki, chleb i pieczona baranina z jarzynami, piwo, oranżada, czekoladowe cukierki.

W każdym prawie środowisku mieszkalnemu znajdują się ludzie, którzy chcieliby to i owo zmienić na lepsze. Posiadają oni wizję swojej osady, wizję życia społecznego i kulturalnego. Ale nie wszyscy ci „ulepszacze” mają zawsze odwagę występować otwarcie ze swoimi propozycjami. Niekiedy boją się narazić środowisku, niektórzy — wątpią w możliwości realizacyjne. Są jednak odważni, wierzący w swoje zdolności przekonywania i mobilizowania opinii publicznej, we wspólne działanie dla wspólnego dobra. Biorą na siebie przewodnictwo i wiele dodatkowych i uciążliwych obowiązków. Przy tych przewodnikach skupiają się inni zwolennicy społecznej pracy dla dobra ogólnego, tworząc społeczne komitety.

Inicjatywa i przewodnictwo jednostki niepokoją, a nawet drażnią tych, którzy żyją wyłącznie dla siebie i odziewają się od spraw społecznych. Ci mierzą często jednostkę wysuwającą się na pierwszy plan według siebie.

— On tu ma na uwadze jakiś własny interes — mówią. — Chodzi mu na pewno o odznaczenie państwowe i o wyższą emeryturę. Chce się władzom przypodobać, zdobyć uznanie i zaufanie, a potem ciągnąć korzyści. Pomnik za życia stawia. Pyszałek! Pragnie, aby wszyscy po nim mówili z uznaniem i podziwem. Roboty swojej pilnowałby, a nie wtracał się w nieswoje. Co go to obchodzi?

Ale ci adwersarze nie mogą odmówić słuszności postulatu inicjatora. Zresztą nie jest on sam, ma

...W ciągu 3 lat wybudowano po trzęsieniu 2.000 000 m² powierzchni mieszkalnej...
CAF — TASS

Około szóstej po południu, kiedy już słońce chyliło się ku zachodowi, przenosimy się na tachcie. Ciągłe popijamy gorącą zieloną herbatę. Pije się ją gorzko, z najwyższej do połowy napełnionych miseczek, które się pod nosi do ust obiema rękami. Sąsiad zza muru na wysokiej drabinie przycina pędy winorośli. Czasami pokrzykując, mój gospodarz, jego brat i tamten sąsiad mówią coś do siebie po uzbecku. Widać, że są z sobą życzliwi i zaprzyjaźnieni. W końcu sąsiad przychodzi do nas. Jest nauczycielem. Jego żona — lekarka.

Gospodarz odchodzi co chwilę, doglądając gotującej się potrawy. Wreszcie zjawia się z ogromnym półmiskiem, na którym koplasto dymią *uzbecki płow* — duma tutejszej kuchni, potrawa narodowa. Ten płow składa się z idealnie sypkiego gotowanego ryżu, tłuszczy (oliwa lub olej albo masło), baraniny lub wołowyń marchwi, pietruszki, całych głów czosnku, pieprzu, anyżu, pomidorów, szczypiorku itp. Ryż gotuje się osobno, mięso smaży się osobno. Procedura przyrządzania jest dość skomplikowana i pracochłonna (zapisalem sobie jednak ten przepis, może kiedyś zdobędę się na wypróbowanie swoich sił?). Najgorsze, że ten płow je się rekoma, a właściwie palcami prosto z tego półmiska. Początkowo niewiele udawało mi się doprowadzić sypkiego ryżu do ust, potem już jakoś szło, ale z podziwem patrzyłem jak Uzbecy zręcznymi palcami na brzegu talerza utaczali z tłustego ryżu coś w rodzaju kluski i nie upuszczając po drodze ani ziarenka doprowadzali taki kęs do ust. Ja natomiast musiałem kolana przykryć ręcznikiem, na który trafiała połowa mego ryżu. Sam płow jest znakomity. A przy tym wcale nie tak ciężkostrawny jakby to z receptury wynikało.

O mierzchu gospodarz zaproponował, żebyśmy poszli niedaleko stąd, do znajomych, prostych ludzi. Poszliśmy. Znow furtka, podwórko. Idzie my wzdłuż muru. Po lewej otwarta izba, w której w kucki przy niskim stole obficie zastawionym siedzą same kobiety. Wchodzimy do na stepnego korytarza. Znow zdejmujemy obuwie, i znajdujemy się w pokoju o wymiarach może 4,5 X 4,5 metra. Dookoła pod ścianami na koidrach siedzą w kucki mężczyźni (ani jednej kobiety!). Jest ich może dwudziestu a może więcej. Środek natomiast zajmuje stół, około 30 cm wysoki, o wymiarach 2,5 X 2,5 m zasta

Dokończenie na str. 2

swoich wspierających go ludzi, może tylko kilku, może kilkunastu. I w tym tkwi jego siła. Jak więc publicznie wystąpić przeciwko niemu? Ba — nawet trzeba wziąć udział w realizacji zamierzenia, bo co by inni powiedzieli?

Mimo ukrytych sprzeciwów i protestów postulat inicjatora i jego zwolenników otrzymuje akceptację wszystkich, malkontenci bowiem nie oponują, wysuwają tylko trudności — ich zdaniem — nie do pokonania.

Józef Pieprzyk

Inicjator i dzieło

Główny działacz biegnie więc po instytucjach i urzędach, za formalnościami, za zdobyciem materiału, za pomocą finansową. Raz wszystko idzie gładko, to znowu jak po grudzie, przecież nie jest zorientowany w przepisach, kompetencjach, zaleceniach, w adresach.

Przypuśćmy, że tym realizowanym zamierzeniem jest dom kultury. Póki wolny czas na czynny społeczny i dostawa materiału harmonizują ze sobą, póki nie ma zastojów — porywać się przebiega dobrze. Na wet „przeciwicy” cieszą się z widoku rosnących w górę murów. Ale gdy zabraknie na przykład stropów, padają jak kamienie słowa:

— Zblaznił się. Dobrze mu tak! Porwał się z motyką na słońce. Tak bywa przemądrzałym!

Wojciech Burłowy

Kto zaśpiewa „Gaudeamus”?

Wyroki o przyszłych studentach na podstawie wrażeń odniesionych przy egzaminach wstępnych podobne jest chiromancji. Inteligentny wróżbita patrząc na dłoń pokrytą odciskami powie: „Życie upłynęło ci w ciężkiej pracy, szczęścia nie miałeś dotychczas, ale oto linia wygląda się i czeka cię wiele radości”. Bowiem inteligentny wróżbita wie, że człowiek, któremu sprzyja los, nie odczuwa potrzeby odkrywania kart przyszłości, a ten, kto przychodzi, pragnie usłyszeć dobre wieści.

Ile może powiedzieć egzaminator po kilkunastominutowej rozmowie z kandydatem na wyższą uczelnię? Tak niewiele, że od lat mówi się o konieczności zreformowania systemu egzaminów wstępnych, czyni się różne próby i w końcu powraca do starych metod. Oczywiście przy obecnym sytemie z minimalnym ryzykiem pomyłki oddziela się ziarno od plew, ale selekcja ziaren, które do rodniejsze, które gorsze, to sprawa trudniejsza.

Komisje kwalifikacyjne Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu nie są zachwycone przygotowaniem kandydatów. Powściągliwie wyraża się opinię: „nie gorzej niż w roku ubiegłym”. Narzeka się nie tyle na brak wiadomości, ile na nieumiejętność poprawnego myślenia i porządkowania faktów, kojarzenia, wnioskowania. Maturzyści ze swoją wiedzą przypominają uczniów szkoły podstawowej, którzy znają na pamięć i nawet na wrywki tabliczkę mnożenia, ale nie potrafią dociec, ilu robotników musi kopać rów długości 48 metrów, jeśli każdy wykopie 6 metrów.

Ciągle nam daleko do tego, abyśmy się stali narodem poliglotów. Różną nieznajomość języka obcego niejednokrotnie decydowała o niepodytowaniu kandydata. A przecież każdy sam wybiera sobie do egzaminu język, którego uczył się przynajmniej przez cztery lata i każdy wie, że opanowanie języka liczy się tak samo, jak opanowanie materiału z przedmiotu kierunkowego. Wielekrotnie zwracano na to uwagę, ale jak widać — nie poskutkowało.

Na tle szarej przeciętnej wyraźnie odcinają się jednostki wybitne. Niestety, jednostki to nieliczne. Na prawo z wynikiem ogólnym bardzo dobrym zdało 2,2 procenta, na chemię 3 procent, na matematykę 5 procent, na fizykę 6 procent. Nie ukrywamy najcięższych stron obrazu: na Uniwersytecie „oblewał” egzamin co trzeci kandydat (dokładnie 34 procent), a na WSR spośród 2110 nie zdało 777. Lawina pretensji ze strony rodziców powinna potoczyć się więc na głowy ich dorosłych pociech, a nie na głowy członków komisji kwalifikacyjnych. Tymczasem władze uczelni wciąż dowiadują się o czyjeś krzywdzie i dopiero na widok stopni milkną żale.

W poszczególnych przypadkach nadal rysują się ostre różnice w skali ocen pomiędzy szkołą a wyższą uczelnią. Oto jaskrawy, chociaż może odosobniony, przykład z Wydziału

Zootechnicznego WSR: na 14 kandydatów z bardzo dobrymi świadectwami — 7 nie zdało egzaminu. Takie rozbieżności nie mogą wynikać ani z podenerwowania zdającego, ani z żadnych losowych powikłań. Ktoś oceniał za łagodne. Rzecz jasna — ten przykład nie upoważnia do wysuwania ogólnych wniosków.

Nie oskarżam szkoły średniej. Utyśkiwania na złe warunki, zarzuty pod adresem nauczycieli, programów, podręczników i kto wie czego jeszcze formułowane nieraz, nic tu dodać, nic ująć. I władze oświatowe i światli nauczyciele wiedzą o istnieniu niedomagań i niedociągnięć, wszyscy wiemy, że proces doskonalenia wymaga czasu, środków, ludzi. Najwięcej winy ma sama młodzież.

Zbyt długo wmawialiśmy na prawo i lewo, że młodzież jest taka dobra, pracowita, żadna wiedzy i obdarzona gorącymi sercami. Jej słabości tłumaczyliśmy słabościami pokoleń starszych, słabościami instytucji wychowawczych albo trudnym dzieciństwem. Nie dość często wytykaliśmy lenistwo, nieuctwo, oportuizm. Zachęcaliśmy do nauki rozstraczając perspektywy lepszych zarobków albo wygodniejszego urzędowania się w życiu zamiast podkreślać, że wiedza stanowi wartość, o którą należy się ubiegać bez przeliczania na złotówki. I tak wyrosła idea przeszlizgiwania się na „państwowotwórczych trójkach”. Zgadzałem się, że większość młodzieży tej idei nie wyznaje, ale pozostała mniejszość urosła nam zastraszając. I tej mniejszości, choćby drastycznymi środkami, musimy uświadomić, że metoda przeszlizgiwania się zawodzi.

Z zestawień dokonanych na Uniwersytecie wynika, że najlepiej zdawała egzaminy młodzież pochodzenia chłopskiego, z kolei młodzież pochodzenia rze mieśniczego i robotniczego. Najgorzej młodzież inteligencka. Zdaje się, że właśnie w tej grupie najbardziej rozpowszechniły się oportunistyczne postawy.

Zarówno wyniki egzaminów jak i dodatkowe punkty przyznawane kandydatom ze środowisk robotniczego i chłopskiego sprawiły, że zmienił się skład społeczny pierwszego roku. Na UAM młodzież robotnicza i chłopska stanowi ponad 50 procent ogółu przyjętych (o 10—15 procent więcej niż w roku ubiegłym), na Wyższej Szkole Rolniczej — 59 procent (w roku ubiegłym 49 procent).

Nie chcę upodobić się do chiromanty. Z ostatecznymi wnioskami trzeba poczekać przynajmniej do końca pierwszego semestru. W tym okresie uczelnie zamierzają przeprowadzić wspólną analizę wyników nauczania najmłodszych studentów. Wolno jednak w trybie przypuszczającym sugerować, że wśród nowo przyjętych idea państwowotwórczej trójki nie znajdzie wielu zwolenników. Wpłyne na to także zapewne zmieniony system stypendialny, ale to inny temat.

wy gotówkowe, robocizną daną w czynnie społeczne, dostarczonym materiałem. Dziękuję wszystkim za pomoc, za pracę, nawet tym, którzy byli niechętni, ale w końcu włączyli się do wspólnego dzieła. Jemu zaś czasem ciepło słowa przekaże ktoś z władzy administracyjnej.

Na tym sprawa się nie kończy. Świadomy uzyskania dobrych wyników dzięki swojemu uporowi, stara niom, przekonywaniom i nakłanianiom, teraz szuka uznania dla siebie i sam sobie je daje:

— A jednak udało mi się. Gdyby nie ja, nie byłoby tego. To „ja” nie podoba się innym:

— Co on mówi? Przecież gdyby nie my, nie postawiłby sobie pomnika!

— ... nie chodziłby w aureoli.

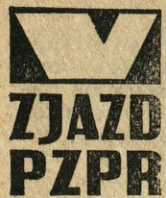
— ... nie dostałby dyplomu uznania.

— ... nie pisaliby o nim w gazetach.

Działacz-inicjator polyka gorzkie pigułki. Dochodzi jednak do przekonania, że wysuwając na czoło swoją osobę zastania wielu sprzymierzeńców i tę znakomitą większość mieszkanców środowiska, która przecież dała duży wkład pracy, a nawet zrezygnowała z własnych ambicji celem podporządkowania się jego osobie i ułatwienia realizacji zamierzenia. I przeciwnicy, po pewnym czasie zaczynają również pozytywnie oceniać jego inicjatywę i upór w doprowadzeniu dzieła do końca. Czas daje satysfakcję.

Dom kultury stanowią dumę całego środowiska i coraz bardziej wiąże ze sobą różne „odłamy” w jedno zwarte środowisko, gotowe pokusić się o dalsze nowe wspólne dzieło.

Perspektywy czasu wolnego



Od dłuższego czasu w polskim ruchu zawodowym przejawiało się dążenie do skrócenia dnia lub tygodnia pracy. Wspierane wieściami o skróceniu czasu pracy w Związku Radzieckim i innych krajach socjalistycznych, dążenie to znalazło swój wyraz w dyskusji na ubiegłorocznym Kongresie Związków Zawodowych. Władysław Gomułka oświadczył wówczas, że dążenie to jest zrozumiałe i należy w miarę możliwości uwzględnić je w przyszłej 5-latce.

Minał rok od Kongresu i oto w te zach KC PZPR nakreślających główne kierunki rozwoju gospodarczego naszego kraju znajdujemy wytyczne dla rządu, aby w latach 1970-75 uwzględnić potrzebę sukcesywnego skracania czasu pracy wszystkim pracownikom zatrudnionym 46 godzin w tygodniu.

Ten 46 godzinny, ustawowy tydzień pracy jest u nas zresztą wielkością pozorną. Praktycznie biorąc, jeśli odliczymy 15 minutowe przerwy na posiłki, trwa on tylko 44 i pół godziny, a jeśli uwzględnimy dość liberalnie w wielu zakładach egzekwowany obowiązek punktualnego rozpoczynania i kończenia pracy — jeszcze krócej. W porównaniu z sytuacją w wielu innych krajach, w których nawet po szumnie reklamowanym skróceniu tygodnia pracy, faktycznie trwa ona (i to w jakim tempie!) po 45 godzin w tygodniu, to u nas wcale nie jest źle. Tym bardziej jeśli uwzględnimy jeszcze inne zachodzące od paru lat zmiany w tej dziedzinie.

Na przykład w przemyśle hutniczym, cementowym, płyt i sklepek wprowadzono tak zwany 4-brygadowy system pracy, który spowodował, że tydzień roboczy skrócił się do 43,

a po odliczeniu przerw na posiłki, do 41 i pół godzin. W podobnym systemie pracują już od dawna pracownicy szkodliwych dla zdrowia działów Poznańskich Zakładów Elektrotechnicznych „Alco”, otrzymując do tego bezpłatne posiłki regeneracyjne.

29 sierpnia ubr. w artykule pt. „W 10 zakładach Wielkopolski co trzecia sobota wolna” — pisaliśmy o sposobie realizacji uchwały Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z 5 maja 1967 r. w sprawie zniesienia pracy na 3 zmianie w soboty w przemyśle lekkim. Na naszym terenie skorzystały z tej uchwały załogi „Pluszowni”, „Dziwiarni” i „Koronek” w Kaliszu, Garbarni w Gnieźnie, Roszarni w Stęszewie i Witaszyczach, Zakładów Jedwabniczych w Turku i innych (kluczowych) zatrudniających łącznie około 24 000 osób, w tym 15 000 kobiet.

Realizacja wspomnianej uchwały KERM-u nie przebiegała gładko. Administracje niektórych fabryk nie wierzyły bowiem, że można skrócić tydzień pracy i wykonać plany w niezmiennie wysokiej (a był to warunek podstawowy). Zabierały się więc do realizacji uchwały z oporami. Ustępowały dopiero pod naciskiem organizacji związkowych i samorządów robotniczych.

Za szybkim zlikwidowaniem 3 zmiany w soboty najbardziej opoźniadły się kobiety. Dla nich jest to bowiem dobrodziejstwo. Co trzeci tydzień kończą teraz bowiem pracę w sobotę (III zmiana) o 6 rano i poodejmują ją ponownie dopiero w poniedziałek rano. Mają 48 godzin wolnego czasu. Mogą się wypaść, zrobić porządek w domu, a w niedzielę wyjechać na wycieczkę za miasto. W starym systemie, nie zawsze było to możliwe.

Praktyka wykazała, że obawy administracji w większości przypadków były płonne. Mimo straty sobotniej 3 zmiany produkcja wcale nie malała, a nawet rosła. Wypoczę-

ci ludzie wydajniej przecież pracują. Tylko w nielicznych przypadkach trzeba było uciekać się do wydłużania dnia pracy na sobotnich zmianach dziennych, przy czym była to wina nie tyle załogi, co złej organizacji produkcji.

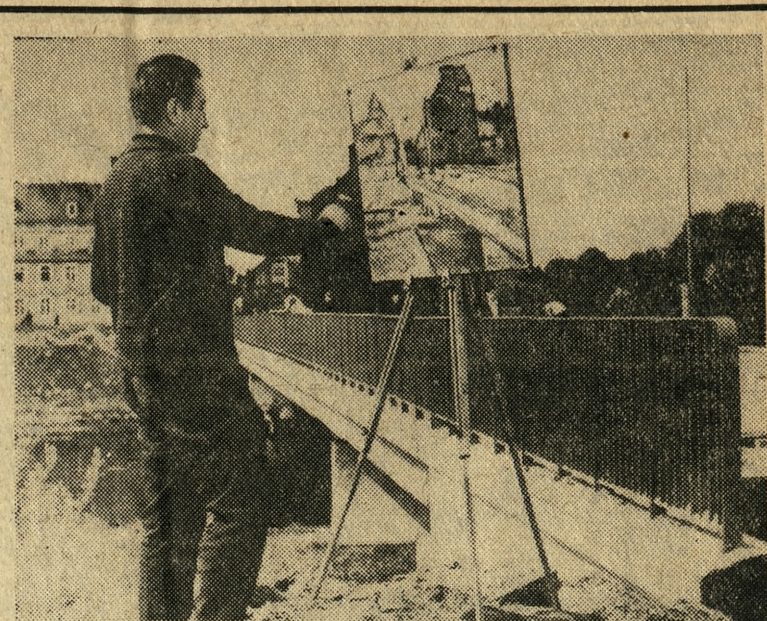
Jaki z tego wniosek? Podstawowymi warunkami do powszechnego skracania tygodnia pracy w przyszłości są: doskonalenie organizacji pracy, wdrażanie nowych postępów technologii oraz wyraźny wzrost wydajności pracy. Bez spełnienia tych warunków o skróconym tygodniu pracy (przy tym samym lub większym uposażeniu) nie ma co marzyć! W ekonomice wszystko trzeba wypracować.

Z też przedzjazdowych wynika, że skracanie czasu pracy wprowadzać się będzie nie jednocześnie lecz stopniowo.

W ciągu najbliższych 3-4 lat, a więc do roku 1972 należy — czytamy w tezach — rozszerzyć stosowanie skróconej dziennej normy czasu pracy w zakładach i wydziałach oraz na stanowiskach pracy o warunkach szczególnie uciążliwych dla zdrowia, gdzie skrócona norma nie jest jeszcze stosowana. Dalej zaleca się rozszerzenie 4 brygadowego systemu pracy w branżach o ruchu ciągłym i ciężkich warunkach pracy, jak np. w niektórych wydziałach hut, odlewni, kuźni, papierni, w niektórych zakładach chemicznych itp.

Natomiast do roku 1975 proponuje się skracać obecnie obowiązujący dzienny czas pracy wszystkich zatrudnionych w wymiarze 46 godzin tygodniowo z tym że w pierwszej kolejności należy uwzględnić przemysły i zakłady typowo kobiece, co w warunkach Poznania oznacza np. „Lechię”, „Goplanę” czy „Polfę”.

Konkretnie terminy i sposoby wskaże dyskusja i późniejsza praktyka. Jedno wszakże jest niemal pewne: owe terminy i sposoby będą różne, dostosowane do charakteru i typu produkcji poszczególnych działów gospodarki narodowej, takie, które zapewnią i wykorzystanie stworzonego potencjału wytwórczego i pełniejsze zaspokojenie rosnących potrzeb społecznych na różne tory.



Na zdjęciu: Józef Durczak maluje nad Gwdą.

Pracowite wakacje poznańskich plastyków

Malarska — czy nie? Takie pytanie zadawano sobie często w Pile, oceniając artystyczne i architektoniczne walory miasta. Ostatecznie wszystkie wątpliwości na ten temat zostały rozwiązane w lipcu. Właśnie wtedy zorganizowano w Pile letni plener poznańskich artystów plastyków. Przyjazd ich do Grodu Staszica nie był przypadkowy. Po prostu władze miejskie i partyjne od dawna sugerowały zorganizowanie takiego malarskiego rendez-vous. Propozycja ich spotkała się z zainteresowaniem Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Poznaniu. Stąd też przyjazd — około 20-osobowej — grupy artystów do Pily stał się wkrótce faktem dokonanym.

Początek pleneru przyniósł oficjalny, a zarazem uroczysty akcent w postaci wystawy w Pilejskim Domu Kultury, na której wszyscy goście zaprezentowali swe prace. Równocześnie — w trakcie spotkania z miejscowymi władzami — dużo mówiono o historii miasta, perspektywach jego rozwoju, przekazywano wiele miejscowych ciekawostek.

Polem — już na roboczo — artyści sami zapoznawali się z Pileą, a widok malarza ze sztalugami stał się chlebem powszednim. Gdzie wybierało się najczęściej? Już sam ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem Plotki, gdzie zakwaterowano poznańskich gości — nastroczał szereg ciekawych tematów. Tematów o tyle kuszących, że równocześnie z pracą malarską można było zerknąć na... wędkę. Liczne grono artystów codziennie wybierało się do miasta. Tutaj obowiązkowo (w każdym razie dla wielu z nich) stał się motyw nowego mostu, będącego właśnie w trakcie prac wykonawczych. Chętnie malowano też położone nad Gwdą tereny, centrum miasta, malownicze boczne uliczki.

W sumie — jak twierdzili uczestnicy pleneru — wyjazd do Pily był w pełni udany. Przekonamy się zresztą o tym w dniu otwarcia wystawy poplenerowej, przewidzianej na wrzesień br. Płanier mają tu ciche nadzieje, że otwarcie odbędzie się najpierw u nich — w galerii Pilejskiego Domu Kultury, a potem dopiero prace powędrują do poznańskiego „Arsenału”. Równocześnie przewidziano, że duża część prac pozostanie w Pile, bądź to w formie darów poszczególnych artystów, bądź też zostanie zakupiona po wystawie przez miejscowe instytucje kulturalne. (w)

SIEDZĄC NA TACHCIE...

Dokończenie ze str. 1

wiony tak, że nie można na nim postawić nawet filiżanki. W każdym narożniku 2 półlitrowki czystej wódki, wszyscy popijają herbatę. A poza tym na stole jest wszystko: kilkanaście gatunków tortów i ciast, tyłu rodzajów cukierków, jabłka, pomidory, czereśnie (w maju) ogórki, kiełbasy, mięswo, szaszłyki, piwo, oranżada. Nie wiem, czy jest jakiś porządek, jakaś kolejność jedzenia tego „grochu z kapustą” czy „Sodomy i Gomory”. Nie mam już siły, by cokolwiek przekonać. Zdobywam się jedynie na kilka czereśni, jabłko i zieloną herbatę.

Pytam, dlaczego nie ma tu kobiet. W odpowiedzi słyszę, że kto chce, może przyjść z kobietą. Ale nikt nie przychodzi — myślę. Z początku myślałem, że odbywa się jakaś uroczystość rodzinna. Nic podobnego. Wszyscy oni spotykają się co tydzień lub dwa u innego sąsiada na czymś w rodzaju tradycyjnej uczty (część woładkowa). Wszyscy oni są sąsiadami, członkami jednej wspólnoty rodowo-sąsiedzkiej zwanej Machalla, mającej swój pierwowzór jeszcze w epoce wspólnoty pierwotnej. W skład

Machalla wchodzi dziś około 30 rodzin. Ta instytucja ma trochę wspólnej własności: naczynia, kocioł do gotowania płowu, stoły, ławy itp. — są to raczej sprzęty służące wspólnym spotkaniom towarzyskim niż codziennym potrzebom. Ale rola Machalla a zwłaszcza jej nestora jest bardzo duża. On nie tylko służy radą, rozstrzyga spory, karmi młodych. On także wyraża zgodę na zawarcie małżeństwa. Członkowie Machalla solidarnie pomagają sobie nawzajem, co uwiódniło się zwłaszcza w odbudowie po trzęsieniu. Hierarchia jest w Machalla do tego stopnia przetrzebiana, że uwzględnia się ją nawet przy... wyborach. Gdybyśmy kiedykolwiek znów trafili do Uzbekistanu, staralibyśmy się jak najbliższej zapoznać z mechanizmem działania tej instytucji. Starej, tradycyjnej, a mimo to znajdującej swoje miejsce w radzieckiej współczesności.

Jest już późny wieczór. Bogate przeżycia dnia, a zwłaszcza wrażenia z obu wycieczek sprawiają, że zamyślenie odczuwać zmęczenie. Żegnaj więc gościnnym gospodarzom. A jutro rano odlatuję do Moskwy.

MARIAN FLEJSIEROWICZ

„Atlas Świata” — pomnikowe dzieło służby topograficznej WP

Już niemal kompletny „Atlas Świata” wydany przez Służbę Topograficzną WP i PWN znajduje się w posiadaniu subskrybentów, którzy w pierwszej połowie bm. otrzymali kolejną pokaźną część kart Atlasu. Niemal — bo wiem brak jeszcze tylko skorowidza nazw, który będzie zawierał około 140 tys. nazw występujących w poszczególnych mapach.

Miłą niespodzianką dla subskrybentów są fotografie Słońca, Ziemi, Księżyca i Planet, a także dawne mapy świata i Polski, które znalazły się na kartach dostarczonej obecnie partii.

„Atlas Świata” jest największą polską publikacją kartograficzną i jedną z największych na świecie.

Jak wiadomo, Atlas był opracowywany w ciągu kilku lat, a na jego karcie tytułowej widnieje data: 1962 r. W tym czasie następowały różne zmiany: nazwy miast czy osiedli były przemianowywane, zmieniała się liczba mieszkańców poszczególnych regionów świata, uzyskiwano nowe dokładniejsze dane o wysokości niektórych wzniesień, wreszcie — powstawały nowe państwa. Redakcja Atlasu starała się w toku prac uwzględnić te zmiany. Tak, np. mapa polityczna świata przedstawia stan z 1 stycznia 1967 r. Wydaje się jednak celowe, by wzorem wydawnictw encyklopedycznych redakcja Atlasu publikowała okresowo suplementy, odzwierciedlające zmiany przynajmniej na mapach politycznych poszczególnych kontynentów czy regionów.

„Atlas Świata” jest bowiem dziełem pomnikowym, z którego kożystać będzie zapewne niejedno pokolenie.

W pracy nad Atlasem brało udział szereg specjalistów z wielu ośrodków naukowych w kraju. Szczególnie cenne były pomoc i rady wybitnego polskiego geografa — prof. dr. Stanisława Leszczyńskiego.

Na kartach informacyjnej Atlasu zamieszczono nazwiska wszystkich osób, biorących udział w jego powstaniu.

W zakończeniu przedmowy czytamy: „Służba Topograficzna WP, która na polecenie kierownictwa MON atlas opracowała, wyrysowała i wydrukowała — żywi nadzieję, że będzie on przyjęty przez polskie społeczeństwo jako jeszcze jeden dowód, że ludowe WP gotowe jest nie tylko do obrony ojczyzny, lecz także czynnie współdziała w rozwoju gospodarki i kultury PRL”. (pap)



DYSKUSJA O ZMP

20 rocznica zjednoczenia ruchu młodzieżowego — powstania Związku Młodzieży Polskiej — stała się okazją w kilku przynajmniej pismach do dyskusji na ten temat. Jedną z takich zorganizowana została przez tygodnik „Argumenty”; w związku z nią „Współczesność” pisze m. in.:

„Dwudziesta rocznica powstania ZMP stanowi dobrą okazję do przewietrzenia wielu utartych poglądów na jego działalność. Jednostronna ocena ZMP, jaka ustaliła się w potocznej świadomości w okresie jego samorozwiązania — trwa w jakiś sposób do dzisiaj, nie przyznając się do dobrze ani prawdziwej historycznej, ani wzbogacaniu tradycji

obecnych organizacji młodzieżowych. Wydaje się, że z perspektywy 12 lat można teraz obiektywnie i spokojnie przeoceniować krytycznie dorobek i osiągnięcia ZMP.

„Argumenty” kontynuują druk głosów w dyskusji na temat tradycji ZMP. W najnowszym wydaniu prof. dr Władysław Markiewicz publikuje swą wypowiedź pt. „Prawdziwie demokratyczna”. Autor uważa, że sprawę włączenia tradycji ZMP do systemu wychowania młodego pokolenia należy traktować jako najzupełniej oczywistą. Wszak była to pierwsza organizacja w całym tego słowa znaczeniu masowa; na jej osiągnięciach oraz błędach trzeba uczyć współczesną polską młodzież.

Wl. Markiewicz porusza następnie kilka niezwykle istotnych spraw, m. in. sprawy „dojrzałości”, aktu zjednoczeniowego, rozwiązania ZMP i „kompromitacji” aktywu ZMP.

„Trzeba stanowczo dementować — podkreśla autor — nonsensowny pogląd, jakoby ZMP był płodem kultu jednostki. Wręcz przeciwnie. Właśnie to, że ZMP był tworem autentycznie demokratycznym, było jedną z przyczyn, iż okres kultu jednostki przebiegał w Polsce, w szczególności w środowisku młodzieżowym, względnie łagodnie. Nawet w

okresie największego nasilenia tendencji sekciarskich ZMP był swoistym azylem dla wielu osób uznanych skądinąd za podejrzanych, tj. dla b. AK-owców, andersowców, harcerzy, dzieci „kulków” itp. (...) W moim przekonaniu osiągnięcia ZMP wyraźnie przeważały.

SPŁNIONE I NIESPŁNIONE NADZIEJE

Przed 5 laty wprowadzono tzw. etatyzację lekarzy, zastępując ich godzinowe zatrudnienie 7-godzinny etatami w jednym miejscu pracy. Przyczyniło się to do zwaniania z lecznictwem otwartym sporej grupy lekarzy w sposób bardziej trwały niż przedtem. Uczyniony został krok naprzód, ale jeszcze nie taki, by mógł zadowalać. Pisze o tych sprawach Joanna Ronert w „Tygodniku Demokratycznym”, przypominając potrzebę wprowadzenia w życie innych postulatów.

„Lecznictwu potrzebne jest zespole nie. Potrzebny jest jeden gestor (mógłby nim być np. wydział zdrowia) etatów lekarskich w szpitalach i przychodniach. W tych warunkach określona część lekarzy ze szpitali przechodziłaby na pewien czas do przychodni. Część lekarzy z przychodni do szpitali. Taka rotacja dałaby jednym możliwość

dokształcania się, zdobywania wyższych kwalifikacji i specjalizacji, drugim rzecz równie potrzebną, acz wciąż niedocenianą — kontakty z pacjentami nie na sali szpitalnej, ale w gabinecie lekarskim.

Próby podejmowane w tym zakresie, choć cieszą się poparciem Ministerstwa Zdrowia, dotychczas jeszcze się nie powiodły. Skoro jednak można było przeprowadzić taką reformę w innych krajach, to powinno się ją wprowadzić także u nas.

2 x LESZNO

Dwa tygodniki piszą o doświadczeniach Leszna Wlkp. Danuta Kaźmierowicz na łamach „Zwierzciadła” pisze o tym, co działacze leszczyńscy i tamtejszy Dom Kultury uczynili, aby Leszno nie było prowincją w kulturze.

„Fundamenty” natomiast w relacji Tadeusza Bieniasa piszą o doświadczeniach powiatu leszczyńskiego w zakresie zaopatrywania w materiały budowlane.

W powiecie leszczyńskim buduje się rocznie średnio 500 budynków wiejskich, których wartość inwestycyjną szacuje się na sumę 50 mln zł. A potrzeby budowlane wsi są większe, możliwości inwestowania ze strony rolników — rów-

nież. Na przeszkodzie stoi jednak niedostateczne zaopatrzenie materiałowe.

Na pytanie czy tak być musi odpowiada właśnie relacja „Fundamentów”.

*
PONADTO: Walery Namiotkiewicz w cyklu „Walki Młodych” „Z dziejów myśli marksistowskiej” publikuje artykuł „Prekursor oportunizmu” — o Ferdynandzie Lassalle'u i jego poglądach. Henryk Jeziorański i Mirosław Zawieja podejmują w „Argumentach” próbę wyciągnięcia choćby wstępnych wniosków na temat fali tegorocznych zaburzeń studenckich — artykuł pt. „Studenckie rebelie 1968”. „Życie Gospodarcze” kontynuuje publikację w ramach tzw. „Wolnej Trybuny”; Józef Pajestka pisze o tym „Jak finansować inwestycje w przemyśle”. Taką „Wolną Trybunę” otwiera „Polityka” wypowiedziami profesorów K. Grzybowski, J. Szczepański i J. J. Wiatra na temat stanu nauk społecznych. W „Życiu Literackim” Jerzy Madeyski nawołuje do położenia kresu rabunkowi naszych za-
bytków.

LEKTOR